

# RODZINA

## PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Nr. 7.

BEZPŁATNY DODATEK.

Rok 1927.

### Czy dzieci nasze mają już pościć?

Poszczenia istotnego tj. ujmowania jedzenia, jakiego się żąda od dorosłych, nie można wymagać od młodzieży poniżej lat 21, gdyż znajduje się ona w rozwoju tak cielesnym jak duchowym w tych latach. Z tego powodu mogłaby ponieść szkodę na zdrowiu. A pomimo tego dzieci i młodzież także obowiązuje czas Postu, który powinien stać się czasem poważnego zastanowienia się i zebrania myśli, ujmowania sobie i nastrojem ku pokucie i skrusze.

Rodzice i wychowawcy w czasie Postu wielkiego więcej niż kiedykolwiek powinni pouczać dzieci swe o skuteczności wyrzeczenia się czegoś i panowania nad sobą. Nietylko żywoty świętych dużo dostarczają przykładów w tym względzie, ale i własne życie rodziców, na które skromnie wskazywać mogą rodzice, pomni na słowa Pana Jezusa: „Pozwólcie świecić waszemu światłu przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki...”

W czasie posiłku dziecko każdą potrawę powinno przyjmować w milczeniu i spożywać chociażby jej nie lubiło: pości ono wtedy przez jedzenie. W tym świętym czasie powinno wyrzec się wszelkich słodczych, nawet placaka, legumin, czekolady i karmelków nie powinno spożywać. Ze stanowiska zdrowotnego nawet należałoby zwalczać zbytnie picie kakao, które zbyt wiele zawiera białka i powoduje zawarzenie. Kawa słodowa, mleko, klejek owsiany są wiele pożywniejszymi potrawami.

Dalszym postem a właściwym u dzieci jest podporządkowanie własnej woli pod wolę rodziców i współtowarzyszy zabaw. Posłuszeństwo takie jeszcze większe ma znaczenie jako ofiara postu. Post bez posłuszeństwa nie wiele jest wart, gdyż trudniejszym o niego jest niewątpliwie, wrodzone posłuszeństwo na słowo. Zasługa jego nie jest mniejszą od tej, którą osiągamy przez post prawdziwy. Post czyni ujmę żołądkowi a w dalszym ciągu ciała, posłuszeństwo znów jest prawdziwym zaparciem się siebie, którego żąda od nas Chrystus Pan.

Jako następne ćwiczenie postu dla dzieci polecamy przewyciężenie lenistwa. W czasie Postu wielkiego niech dzieci szczególnie sumiennie wypełniają swe drobne obowiązki. Rodzice i wychowawcy zwracać powinni dzieciom na to uwagę. Zadania szkolne i domowe powinny być staranniej wykonywane niż kiedy indziej, chętniej i skorzej dzieci powinny wedle sił rodzicom pomagać w ich zajęciach czy to załatwiając jaki sprawunek, czy odbierając im ciężar i to wszystko czynić powinno z twarzą wesołą i chętnym sercem.

Zawsze czynić to, czego się nie lubi, zrobić, powinno stać się dziecka zasadą w Poście. Zabawy, beczynne zamyślanie się, długie spanie, gadanie niepotrzebne, zadawalnianie ciekawości, to wszystko miłym jest człowiekowi powierzchownemu, zatem wypełnianie przeciwieństw staje się dla dziecka prawdziwą ofiarą postną. Zamiast zabawy praca pożyteczna przygodna, z rana wczesne stawanie i uczęszczanie na nabożeństwo zamiast długiego wylegiwania się w łóżku, ćwiczenie w milczeniu, niezadowolenie swej ciekawości, wyrzeczenia się ciekawego patrzenia i przysłuchiwania się rozmowom, a w końcu, nie mniej gorliwa modlitwa, która też wymaga przewyciężenia się, przez co zbliża się ofiarze postu.

Z powyższego wynika, że czas Postu nietylko przeznaczony jest dla dorosłych. Wskazówki podane wykazują, że również dzieci na swój sposób pościć mogą. Dorośli zaś, którzy dla jakiegokolwiek powodu pościć nie potrzebują, z powyższych wskazówek dowiedzieli się, że prócz postu istotnego ważniejszym jest ujmowanie sobie przyjemności, łakoci, wygód itp. rzeczy.

### Złoty warkocz.

Obrazek przez Paulinę Wilkońską.

Gdy sto lat temu Kościuszko powołał naród do powstania, posypały się dary rozliczne na ołtarz Ojczyzny: każdy, czyje serce polskiem uderzało technieniem, niósł, co miał — ostatnią łyżkę srebrną i ślubne pierścienie.

Na Starem Mieście w Warszawie, w małej izdebce o niewielu lichych sprzętach, do której przez stare szyby wąskiego okienka zrana tylko, jakby na dzień dobry, parę skośnych wdzierało się promieni, w tej izdebce ciemnej, ubogiej, lecz schludnej, dwie kobiety siedziały. Starsza z nich, biała, zawiędła, szepcząc pacierze, wartko obracała kołowrotek, wyciągając z kądzieli nić cienką, a równą; druga młodsza, hoża, dziwnie miłego lica, z główką ozdobioną precudnym splotem jasnego włosa, nad pracowitym przy oknie pochylała się haftem; kształtną była też jej postać, przybrana w ciemną, ubogą, lecz czystą sukienkę.

Na okienku rósł w glinianej doniczce śliczny, zieleniuteńki rozmaryn. Dziewczę, nawlekając igłę, spojrzało na młode gałązki, jakoby dla wypoczynku praca znużonych oczu, i niby pogodniejszy wyraz jej wdzięczne rozjaśnił lice. Potem dalej znowu na cienkim muszlinie drobna igielką wyszywała na



rysowane wzory i zanuciła czystym a świeżym głosem:

„Witaj Królowo, Matko litości!”

I matka wtórowała jej przy kołowrotku.

Piosenka przebrzmiała i znów było cicho w izdebce. W tem szybko drzwi otworzono; jaskrawy strumień przed zachodniego słońca oblał głowę dziewczęcia i położył koronę jej czoła, we drzwiach ukazała się druga, także młoda dziewczyna, nie tak wdzięczna jak pierwsza, lecz ubrana lepiej i weselszego wejrzenia.

— Niechaj będzie pochwalony... — wymówiła; matka i córka jednogłośnie odrzekłszy:

Na wieki wieków. Amen.

Matka pozostała przy kołowrotku, a córka podskoczyła, by powitać gościa.

— Siadaj, siadaj Anusiu — mówiła, przesuwa-  
jąc jej stare krzesłisko, pokryte płótnem w czer-  
wone i białe kraty. — Dokończę tego listka, to i za-  
raz pójdziemy.

Już też u was zmierzchać poczyna.

— Oj, tak — ozwała się matka — w naszej ciupce dzionek krótszy, niż gdzieindziej, mój Jezu!

— Ależ prześliczny jest haft twój, Jadwisiu — wymówiła znowu Anna, przyglądając się pięknej robocie.

— Czy ten szlak znowu dla tej bogatej pani na Senatorskiej ulicy?

— Dla niej — odrzekła Jadwiga — a zamówiła ich jeszcze więcej, Bogu dzięki!

— I dobrze ci płaci?

— Że i z biedą wyżyć można. A niechaj Bóg ją za to wynagrodzi, bo teraz taki trudny zarobek. Skądże idziesz, Anusiu i co tam słyszeć?

— Brat mój zaciągnął się dzisiaj do pułku Działyńskich i już jest w mundurze.

— Boże mu dopomóż!

— Wszystko zaciąga się do pułków różnych. Król znowu dziś pojechał na Pragę, a już od samego rana pierwsze panie poszły z motykami na wały.

Pójdziemy też zaraz, jeno ot dokończę.

Anna codziennie o tym czasie przechodziła i razem z Jadwigą i jej matką udawały się potem na wały, gdzie aż do późnej pracowały nocy. Biedne, na chleb powszedni pracujące kobiety, przynosiły chwilę przedwieczorną, zwykłą chwilę wyczerpania, jako ofiarę na wspólny ołtarz narodowej pracy.

— Byłabym u was już wcześniej — mówiła znowu Anna — ale poszłam też do błękitnego pałacu (Ordynatów Zamojskich w Warszawie na rogu ulicy Senatorskiej) i docisnąć się długo nie mogłam. Tyle było ludu. Wiecie, że pani X. przyjmuje tam składki na szpitale dla rannych i różne potrzeby krajowe, to też i każdy niesie, co może: musiałam czekać blisko godzinę.

— A cóż tam zaniosła?

Jadwiga podniosła ku niej piękne, niebieskie rzeczy.

— Na co nas stało; nieco starej bielizny, stare srebrne kolczyki matczyne, obrączki ślubne rodziców i moją szpilkę od brata.

— Tyle aż zaniosłaś!... O jakżeś ty szczęśliwa!

— zawołała Jadwiga z westchnieniem. — Od dni ilku już sobie głowę kłopotę i dręczę się i męczę, e i sen w nocy odbiega, coby to zanieść, a nic wynieść nie mogę. O matuniu droga, my bo nic nie mamy, biedne sieroty!

— Nic, moje dziecko, nic, ani odrobiny! — po-  
zepnęła matka żałośnie — jeno modlitwę gorącą i szczerą.

Jadwiga spojrzała na swój rozmaryn, obróciła doniczkę i zwróciła wzrok pytający na Annę.

Tamta zrozumiała ją.

— Chciałabyś swój rozmaryn poświęcić? Biedaczko, cóż ta gałązka warta!

— Taki śliczny.

— Ładnie rośnie, ale któż dzisiaj da co za to? Pomódl się, to Panu Bogu dar miły, a pomódl się za rodaków i kraj, zagrożony nieszczęściem.

Jadwiga westchnęła, a potem, składając robotę, wyrzekła:

— Idźmy już, idźmy! — i powstała nagle.

Matka jej uczyniła to samo. Jadwiga dobyte z poza pieca motyki, przeżegnały się i wyszły.

Na wałach praskich dużo uwijało się robotników i nasze trzy znajome też gorliwie ziemną zajęły się pracą.

Dziwny, poruszający to był widok, ten szereg pracowników wszystkich warstw narodu.

Zabrzmiął śpiew rażny:

Cóż ten natłok ludzi znaczy

Ubogich i panów,

Mnóstwo gorliwych kopaczy

Bez różnicy stanów?”

I rozlegał się na całej długiej linii niby jedno brzmienie. Domieszały się i znajome nasze głosy, swoje.

Jadwiga, jak uważały matka i przyjaciółka, ciągle niby zamyślona i smutna pracowała; śpiewała, ale zresztą to i milczała.

Po skończonej robocie, gdy już zamierzchno całkiem, klękawszy, pomodliły się, a potem pospołu z drugimi do domu wracały.

Nazajutrz, zaledwie drugi promyk słoneczny, wdarł się przez okienko do lichej izdebki, już Jadwiga była na nogach.

Matka zgotowała jakąś polewkę i właśnie stawiła miseczkę na stół, gdy przystąpiła Jadwiga i z uśmiechem zawołała:

— O, mateńko!

Matka spojrzała i nagle zaciskając dłonie, z zdziwieniem zawołała:

— O, Jezu! Co to?

Jadwiga trzymała w ręku odcięty swój śliczny warkocz.

— Mateńko, — wymówiła — nie miałam co dać na potrzeby powstania. Otóż ta pani na Senatorskiej ulicy nieraz podziwiała mój warkocz i radaby mieć taki, bo ma włosy tego samego koloru, tylko że bardzo rzadkie; zaniosę jej warkocz, sprzedam go, a pieniądze oddam w pałacu błękitnym. Mateńko, sypiać nie mogłam, a teraz mi lekko na sercu, jak gdybym się pozbyła ciężaru.

Matka spojrzała na córkę; z włosiem krótko obciętym, nie była już tak ładna, ale uśmiechnęła się, spojrzała ku niebu i ponad głową dziewczęcia znak krzyża świętego zrobiła.

Jadwiga włożyła biały czepek, spożyła parę łyżek polewki, ułożyła odciętą, piękną głowy swojej ozdobę w papier i wyszła.

W godzinę potem wróciła z promieniejącem obliczem.

— Mateńko! — zawołała — ta pani dała mi dwa dukaty! Całe dwa dukaty! Bóg widzi, że ani wiem, jak mnie nogi do błękitnego pałacu poniosły. Tam się zdziwili, że taka licha dziewczyna przynosi złoto w ofierze, gdy w tem zajechała karetą i weszła ta moja pani... mateńko i opowiedziała rzecz całą!... Jeden z panów słuszny i okazały wyrzekł:



„A, to istotnie złoty warkocz!” Aż mnie wstyd było, tak wszyscy patrzyli się na mnie.... I matulenko był tam ksiądz Majer, ten przyjaciel naszego Kilińskiego, i błogosławił mi, jedyna matko kochana.

Jadwiga rzewnie zalała się łzami, łzami błęgiego uczucia.

— Moje dziecię, moje dziecię najdroższe! — wymówiła matka, składając dłonie.

— Mateńko, Bóg dobry dał mi ten warkocz i chwała jemu za to! Czem kto może, to niechaj się Ojczyźnie przysłuży — tak każe Ojciec Niebieski!

## Wróżka.

W domu jednej z przeludnionych ulic Warszawy na najwyższym piętrze panna Eleonora Zodyakówna uprawiała sztukę przepowiadania przyszłości... Jej zwykłą klientelą to były mieszcanki, robotnice albo biuralistki, żadne wieści i wrażeń...

Szczupłe mieszkanko panny Eleonory urządzone było w stylu nieco uroczystym a tajemniczym i działało na wyobraźnię gości dzięki ciemnym makatom i zielonym lampom. Sama zaś panna Eleonora, odziana w błękitną tunikę o złotych magicznych znakach, gdy wróżyła, czyniła wrażenie uroczyste i niepokojące. Była to osoba o wyniosłej postawie, wiek miała nieokreślony i ponure wejrzenie, a wzrok często nieprzytomny.

Zawód wróżbiarski wykonywała sumiennie i uważała się nieomal za wyrocznię, a tajników wróżby uczyła się u ciotki.

Po mistrzowsku umiała pociągnąć ludzi za język i tym sposobem osiągała znaczne powodzenie, a interes jej rozwijał się doskonale. Poważna, przywoita i rządną prowadziła jednostajny żywot w towarzystwie Kizią, czarnego kota, o zielonkowatych ślepiach.

Raz przed wieczorem w mglisty dzień zimowy, gdy panna Eleonora sądziła, że już nikt nie przybędzie, i marzyła o serwatce ze sałatą karfiolaną i kawałku placka zjabłkami, ozwał się dzwonek.

Panna Eleonora skoczyła otworzyć, a przed nią stanął przystojny mężczyzna, blondyn, z przyszytym wąsikiem, błękitnooki, elegancko odziany.

— Pani — rzekł, skłoniwszy się uprzejmie, — wybacz, że przybywam o tak późnej godzinie, ale czuję, że na zegarze mego życia wybiła rozstrzygająca godzina i muszę natychmiast zasięgnąć zdania pani w tym względzie.

Wróżka wprowadziła go bezzwłocznie do gabinetu porad. Usiadł, wyglądał bardzo strapiiony.

— Nie poznajesz mnie pani, — odezwał się po chwili. — Wszakże spotykaliśmy się już raz na schodach. Od tygodnia mieszkam w tej kamienicy. Spotkawszy panią, doznałem wrażenia sięgającego do głębi duszy. Czy nie zauważyła mnie pani?

— Ależ owszem, przypominam sobie — rzekła panna Eleonora, wpatrując się badawczo w gościa.

— Pani, ujrzawszy cię, zacząłem badać, kim pani być może... Objaśniono mi i pojąłem, że to Opatrzność zrządziła, że zamieszkałem tutaj... Tak, to Opatrzność... Znajduję się jak wędrowiec na rozstajnych drogach, potrzebuję porady i rozstrzygnięcia... Zostałem zdradzony... Zamyślam porzucić ojczyznę... udać się w świat. Miłość zawiedziona... waham się... oddaję się w ręce pani, apeluję do jej przedziwnego talentu.

Ujęta zaciękawiona tym niebывałem klientem, panna Zodyakówna rozłożyła karty i wygłosiła swój werdykt.

— Szalony — mówiła — podróż... zaślepienie... wśród blasku księżyca czyja wróg nieznany...

— Ach istotnie! właśnie tak, to jest nadzwyczajne proszę pani! Pani pozwoli, że opowiem.

I jął prawie przeróżne historie, w których jego osoba odgrywała świętą rolę. Poczynił półwyznania; pannę Zodyakównę ogarnęło wzruczenie. Był taki czarujący, a życie dokuczyło mu srodze.

Wreszcie skończył opowieść i wyszedł, ale zamówił się na dzień następny. Panna Zodyakówna zażądała wyjaśnienia, aby ustawić wróżbę. Wymienił nazwisko: Marceli Górecki i podał dzień i godzinę urodzin.

Przy układaniu wróżby p. Zadyakówna zrobiła niespodziewane, ale miłe odkrycie — że istnieją między przeznaczeniem Marceliego Góreckiego a jej losami zależności. Pan Marceli Górecki powrócił następnego dnia i zabawił czas dłuższy. A potem był bywalcem codziennym. Nigdy jakoś dość jasno nie pojmował swej przyszłości i ustawicznie pragnął objaśnień, choć ciągle głośił pochwały niezwykłego talentu jasnowidzącej Eleonory. Długimi poufnymi rozmowami przeplatali sobie te tajemnicze badania. Gość ten, wedle swych własnych słów radził się Zodyakówny „jako jasnowidzącej i jako kobiety“.

Jakże miał postąpić? Znajdował się przecież na rozstajnych drogach życia. Przyjaźń i miłość zawiodły go!... Porzucić kraj, ta myśl była mu wstrętna, bo kochał ojczyznę... ale żył taki samotny... Pewnego wieczora, gdy lamentował srodze, Eleonora nie zdołała opanować gwałtownych uczuć serca.

— Nie mów tego — rzekła z cicha — nie jesteś opuszczony... przecież ja jestem przy tobie. Ach! nie odjeżdżaj jeszcze!... Ucisnęła dłonie p. Marceliego Góreckiego.

— Moje kochanie, nie śmiałem żywić tej nadziei — rzekł, obejmując ją ramieniem.

Przez cztery tygodnie życie panny Eleonory przemieniło się w czarowną bajkę. Co rano buziła się radosna, marząc o szczęściu i miłości... Co dzień widywała się z Marcelim Góreckim; oboje snuli płomienne plany, a Marceli objawiał jeszcze gwałtowniejsze pragnienie urzeczywistnienia ich niż p. Eleonora... W tym celu wypadało mu wyjechać.

Zdarzyło się, że raz samotna Eleonora, rozmyślając o przyszłym szczęściu, powracała z targu. Wtem jakiś gruby mężczyzna, który widocznie oczekiwiał na nią w sieni, podszedł ku niej.

Czynił wrażenie dobrodusznego jegomościa, ale wzrok miał przenikliwy, w ustach wyraz wielkiej oglećności.

— Pragnąłbym pomówić z panią. — „Jeszcze nowy klient“ przemknęło jej przez głowę.

— Chodzi nam o pewnego znajomego panią, — rzekł wchodząc z nią do mieszkania. — Pani zna tego człowieka... nazwisko jego brzmi: Edward Brodawiec.

— Edward Brodawiec? nie, nie znam takiego pana — odparła Zodyakówna, którą nagle ścisnął za gardło lek nieopisany.

— Ależ owszem... pani go zna... Marceli Górecki... pojmują pani teraz? Wyjechał? ulotnił się od 5 dni. Tak, wymknął się nam. Należę do wywiadowców policji państwowej. Dopiero pozawczoraj dowiedzieliśmy się, że wprowadził się tu pod przybranym nazwiskiem Górecki... Mieliśmy go na



oku... Drapnął dziś zrana. Oczywiście pani nie wie, gdzie się znajduje?

— Ale cóż znaczy to wszystko? To pomyłka! — bełkotała napół przytomna Eleonora.

— Więc pani też wpadła? — ciągnął dalej agent śledczy. — Przyrzekł pani małżeństwo, czy tak? Wyjechał na prowincję, aby wyszukać papiery i aby zabezpieczyć przyszłość pani... I zabrał ze sobą oszczędności pani, czy tak? Pod pozorem świetnego interesu, który miał panią obsypać gradem złota, wyłudził uciulane grosiwo. To już jest jego zwyczaj. Korzystając z pięknej powierzchowności, wybiera na ofiary — przepraszam najmocniej — panienki już nie-pierwszej młodości. Gra na nucie uczucia... czy tak?

„Tak“, było w istocie, a panna Zodyakówna napół żywa osunęła się na fotel.

— Tymczasem ten osobnik pracuje także jako kieszonkowiec i włamywacz — ciągnął dalej wywiadowca. — Znamy tego ptaszka... Ale trudno go przychwycić, ma fałszywe papiery, zmienia nazwiska...

Panna Zodyakówna nie słuchała już dalszych objaśnień. Szlochała zapamiętałe z rozpacz nad utraconem szczęściem.

— No proszę, proszę. Nie trzeba znów brać takich rzeczy zbytnio do serca — próbował pocieszać dobroduszny wywiadowca. A rzuciwszy okiem wokół siebie, nie mógł powstrzymać śmiechu i dodał:

— Między nami mówiąc, dziwię się okrutnie, że panienka, która przepowiada przyszłość i jest zawodową wróżką, nie przewidziała, co się jej przytrafi...

Mimo cierpienia i bólu duma jasnowidzącej odezwiała się w niej nagle, powstała, a zwróciwszy się ku wywiadowcy, odparła wyniośle:

— Kaganiec nie oświeca swej podstawy.

## Rozmaitości.

### Nieśmiertelny ofiarodawca.

Przed wielu laty pewien bogaty Anglik, nazwiskiem Jeremjasz Beuthan, zapisał uniwersytetowi londyńskiemu znaczną sumę pieniężną. Nie jest to rzeczą niezwykłą w tym kraju bogatym, gdzie np. wszystkie szpitale istnieją z łaski zamożnych ofiarodawców. Rzeczą wyjątkową w testamencie mistera Beuthana, było to, że postawił on za warunek fundacji, iż ciało fundatora, wypchane i mumizowane, ma brać udział we wszystkich ważniejszych naradach profesorów. Wobec tego, że zapisana suma była bardzo znaczna, uniwersytet przyjął fundację. I dotychczas, kiedykolwiek profesorowie schodzą się na służbowe zebranie, wtaczana jest na salę odtąd szklana skrzynia z kunsztownie zrobionem „ciałem“ p. Beuthana. Niedawno uniwersytet zwiedziło kilku wybitnych gości zagranicznych, którzy ku wielkiemu swemu zdumieniu, musieli przebywać w towarzystwie oryginalnego gościa.

### Papier jako materiał budowlany.

Niezwykły wzrost zapotrzebowania papieru przyczynił się do ciężkich warunków, jakie przeżywa obecnie książka, nie tylko u nas, lecz i we wszystkich innych krajach europejskich. W każdym razie wszędzie wydawcy skarżą się na drożyznę papieru. W Ameryce drożyzna papieru nie istnieje: olbrzymie puszcze kanadyjskie długo jeszcze będą mogły dostarczać taniego surowca. To też nic dziwnego, że w tym właśnie kraju zrobiono wynalazek parkietów (deseczek do podłóg) z masy papie-

rowej. W Stanach Zjednoczonych oddawna używa się masy papierowej do wyrobu przedmiotów zwykle w Europie robionych z drzewa lub kości, obecnie zaś pewne otwarzystwo kanadyjskie przystąpiło do mieszania tej masy z cementem i wylewania nim podłóg w nowo budujących się domach. Uzyskana w ten sposób posadzka jest gładka, doskonale daie się malować i zaciągać jak drewniane parkiety i prócz tego ma inną wielką zaletę: całkiem nie przepuszcza dźwięków. W naszych nowoczesnie budowanych domach, gdzie każdy hałas z mieszkania sąsiadów dochodzi do naszych uszu — jest to zaleta niemała. Fabrycznie przygotowuje się taką papierową posadzkę w sposób niesłychanie prosty. Przygotowaną masę wylewa się poprostu na ceglana lub betonową podłogę, równa wałkiem drewnianym i w kilka godzin posadzka jest gotowa.

### Kometa wpływająca na losy świata.

Obserwatorium astronomiczne w Chicago stwierdziło pierwsze ślady świetlne komety Pons-Winnicki, który zjawia się nieoczekiwanie dla astronomów po 80 latach. Ostatni raz pojawił się przed samą wiosną ludów 1847 r. w czasie pamiętnych ruchów wolnościowych w Europie. Czytający w zjawiskach niebieskich losy ludzkości przewidują wskutek pojawienia się tego komety nowe wstrząśnienia i przewroty wśród ludów kuli ziemskiej.

### Pachołek do koni z rodu królewskiego.

W mieście Berden, w hrabstwie Essex, żyje człowiek, nazwiskiem Tomasz Godwin, skromny robotnik rolny i pacholek do koni, który twierdzi o sobie, że w jego żyłach płynie krew dawnych królów angielskich. Ostatni król z tej rodziny, Harold II, padł w bitwie pod miejscowością Hastings i ten wypadek otworzył drogę do tronu jego przeciwnikowi Wilhelmowi Zdobywcy. Ten z całą świadomością i celowością niszczył szereg Saxonów, z którego Harold I Ipochodził, i w ten sposób z biegiem wieków doszło do tego, że żyjący obecnie potomek rodziny królewskiej zarabia sobie na utrzymanie na tak skromnem stanowisku. W innych krajach, gdzie zachodzą wielkie rozłamy wśród społeczeństwa, gotowiby przeciwnicy rodziny panującej w danym razie próbować przywrócenia tronu potomkom dawnej rodziny panującej, ale w Anglii z taką możliwością liczyć się nie można i bodaj Tomaszowi Godwinowi przyjdzie przepędzić całe życie na stanowisku pacholka do koni.

## ŻARTY I DOWCIPY.

Gospodarz pewien prowadzi wołu drogą, gdy w tem przystępuje do niego posterunkowy i rzecze: „Czy nie widzicie, że ta droga przeznaczona dla pieszych?“

G o s p o d a r z : „Widzę, toć wół mój też idzie pieszo“.

### I to ma być wolność!

Dyrektor sądu (do więźnia): „Odbyliście swoją karę, jesteście wolni. Spieszcie się, żona na was czeka przed sądem.“

Więzień: „I to pan dyrektor nazywa wolnością?“

„E“ czy „o“.

— Gdy nietrzeźwy wracam do domu, wtedy moja żona wpada w historję.

— Może w historję?

— Nie, w historję, bo zawsze opowiada stare dzieje.